



Być Bacą ...

Opracowała: Urszula Janicka - Krzywdą

Hodowla owiec dla większości obszaru Polskich Karpat jeszcze w połowie XIX stulecia stanowiła ważny element gospodarki. Właścicielami owiec byli mieszkańcy wsi rolniczych, do których też należały tereny wypasowe. W wypadku tych ostatnich występowały różne stosunki własnościowe i nie miejsce tu na ich omawianie.

Obok obszarów położonych w pobliżu wsi, na stokach i grzbietach okolicznych wzniesień, wypasano też owce na odległych nieraz terenach jak np. hale w Tatrach, gdzie gospodarowali pasterze ze Spisza. Pobyt owiec poza wsią był okresowy. Trwał mniej więcej od maja do września. Przed rozpoczęciem i po zakończeniu tego właściwego wypasu owce, zwłaszcza jesienią, pasły się na ścierniskach i na łąkach jednokośnych.

W całych Polskich Karpatach dominowały dwa typy szalaśnictwa, a mianowicie halne typu alpejskiego i leśne, polaniarskie, typu średniogórskiego.

Szalaśnictwo halne oparte było o hale wypasowe w Tatrach, częściowo w Beskidzie Śląskim, Żywieckim, w rejonie Babiej Góry, a także w Gorcach.

Szalaśnictwo polaniarskie bazowało na śródleśnych polanach i na wypasie w lesie. Występowało głównie w Gorcach, w Beskidzie Sądeckim, Wyspowym i w Bieszczadach.

W obu wypadkach bazę sezonowego gospodarstwa stanowił szałas (koliba), gdzie mieszkali opiekunowie stada i gdzie przetwarzano uzyskane od owiec mleko. Słowo *szałas*, obok budynku oznaczało także całość gospodarstwa wypasowego.

W Polskich Karpatach występowały bardzo różne typy szałasów pasterskich. Najczęściej wznoszono je z drewna, na zrąb. Dachy czterospadowe lub nowsze, dwuspadowe kryto dranicami (rodzaj desek dartych przy pomocy klinów z długości pnia) lub gontem. W Tatrach zdarzały się kamienne koleby. Za najlepszą lokalizację szałasów uważano wzniesienie go pod świerkiem. Drzewo broniło mieszkańców przed złymi siłami, dodawało im zdrowia i sprawności.

Zawsze najważniejszym miejscem w szałasie było płonące w nim przez cały czas ognisko - *watra*. Nad ogniem, od ściany do ściany przeciągano z reguły żerdź, a o nią zaczepiano rodzaj drewnianego haka z gałęzi lub korzenia-samorodka, tzw. *jadwigę*, na której wisiał kocioł do gotowania. Na ścianach wieszano półki, gdzie stały potrzebne w pasterskim gospodarstwie naczynia i gdzie gromadzono sery. W niektórych szałasach istniała wydzielona ścianką część będąca magazynem i sypialnią bacy.

Owce przebywały w nocy i podczas dojenia w przenośnej zagrodzie zwanej *koszarem*. W ogrodzeniu koszaru istniała część zagrody oddzielona od reszty, zwana *stragą*. Tu dojeno owce. Każdą sztukę napędzano z koszaru do stragi przez dziurę, czyli *okiennicę*. Po obu jej stronach siedzieli pasterze, na niskich stołkach lub pieńkach i kolejno doili owce. Koszar co jakiś czas przesuwno na inne miejsce, nawożąc w ten sposób halę.

Stadem w czasie wypasu opiekował się zespół wypasowy, na czele którego stał baca. W poszczególnych częściach Polskich Karpat występowały różne formy pełnienia tej funkcji. Zawsze baca odpowiadał jednak za całość wypasu, za powierzonych sobie ludzi i stado. Przy dużym stadzie liczącym kilkaset owiec miał swego rodzaju zastępcę, starszego juhasa, zwanego *podbacą* lub



półbacz. Do zadań bacy należało kierowanie wypasem i przetwórstwem mleka, a także pełnił on funkcję lekarza i maga ochraniającego zwierzęta i ludzi przed działaniem złych mocy, o czym będzie jeszcze mowa. Podlegali mu pasterze zwani juhasami lub wałachami i ich pomocnicy, chłopcy - podrostki, czyli *honielnicy*, zwani niekiedy *owczarzami*. Juhasów werbował sobie baca, przyjmując zwykle jednego na siedemdziesiąt sztuk owiec, a gdy pasterz był wyjątkowo wprawny, jednego na sto sztuk. Wynagrodzenie bacy i pasterzy odbywało się według ściśle ustalonych zasad, a honorarium stanowił głównie owczy ser.

Już na długo przed wyruszeniem w góry baca i juhasi przygotowywali się do trudów pobytu w szałasie. Starali się przede wszystkim zaopatrzyć w sprzęt chroniący ich samych i powierzone im zwierzęta od chorób, złych mocy i działania czarów. Zwłaszcza baca musiał zgromadzić szereg przedmiotów potrzebnych mu do wykonywania zabiegów magicznych. Zbieranie tej swoistej „apteczki” nie było rzeczą łatwą, wymagało doświadczenia i odwagi. W Święto Trzech Króli (6 stycznia) baca starał się zdobyć trochę mirry, kadzidła i święconej wody. Mógł te przedmioty zabrać z kościoła sam po kryjomu lub kupić od kościelnego, albo innej osoby ze służby kościelnej. Ci ostatni jednak niechętnie dokonywali takiej transakcji, gdyż uważano, że sprzedaż bacy tych „akcesoriów” jest wielkim grzechem. W dniu Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego) baca święcił gromnicę przeznaczoną specjalnie na potrzeby szałasów, a także starał się bez świadków zeszkrobać trochę wosku ze świecy płonącej w tym dniu na ołtarzu. Zbierał również skrzętnie wosk, który skapywał na podłogę kościoła z gromnic wiernych. W Środę Popielcową z kolei baca święcił w kościele popiół, a następnie już w domu, bez świadków, odmawiał nad nim zaklęcia. Popiół ten był bardzo skutecznym lekarstwem podawanym owcom, gdy zachorowały na skutek czarów. W Wielki Piątek nie tylko baca, ale także juhasi robili z owczego mleka masło, które święcili wraz ze „święconym” w Wielką Sobotę. Masłem tym smarowano potem ręce przed pierwszym udojem, żeby nie bolały przy tej pracy. Było również doskonałym lekarstwem na wszelkie wrzody u owiec. W Wielki Piątek w nocy baca mógł też zdobyć najcenniejsze dla siebie przedmioty, których posiadanie gwarantowało udany wypas, zdrowie owiec i ludzi. Tak więc, gdy był odważny i gotów na wszystko, starał się wejść w posiadanie Hostii i stuły. Nie było to przedsięwzięcie bezpieczne. Na śmiałka, który w tym celu musiał się zakraść w nocy do kościoła czyhały różne straszidła, chcąc go przerazić, a porażonego strachem zadusić. Mógł się nawet kościół zatrząść w posadach. Najczęściej jednak Hostię zdobywano przyjmując Komunię i wynosząc ją na języku. Bacowie ze Spisza, Podhala i Beskidu Sądeckiego szli zaś do odległych wsi greckokatolickich i przynosili tzw. dorę (kawałki pieczywa, pod postacią których przyjmuje się w cerkwi Komunię). Często baców wyręczały w tym ich żony. Również w Wielki Piątek baca udawał się nocą na cmentarz, aby zaopatrzyć się w kości nieboszczyka i drzazgi z trumny. W ostatni dzień Wielkiego Tygodnia, w Wielką Sobotę, święcił ukradkiem w kościele cienkie gałązki świerka używane potem przy cedzeniu mleka, kropieniu stada itp. Zbierał też po kryjomu wosk skapujący z Paschału.

Cennym nabytkiem była woda użyta do obmycia zwłok zmarłego, sznur wisielca i drzazgi z drzewa powalonego przez piorun. Istotnym elementem gromadzonych przez bacę akcesoriów, niezbędnych mu potem w czasie wypasu, były także zioła. Przede wszystkim duże znaczenie miały tu zioła święcone w oktawę Bożego Ciała (święto ruchome), w dniu Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia), a także rośliny zbierane przez bacę i przeznaczone wyłącznie na użytek pasterzy. Zbierał je przed świtem w wigilię św. Jana Chrzciela (24 czerwca) i św. Jakuba (25 lipca). Wraz ze wspomnianymi wyżej przedmiotami wchodziły w skład swego rodzaju „apteczki”, określanej powszechnie przez mieszkańców Polskich Karpat jako *bacowskie ziele*. Wszystkie te przedmioty baca zabierał ze sobą na halę, gdzie przechowywał je w osobnym kuferku.

Baca i juhasi, obok gromadzenia różnych akcesoriów pomocnych potem w czasie wypasu, musieli przygotować się do czekającej ich pracy odpowiednim zachowaniem się w ważnych momentach roku. Tak więc baca idąc na pasterkę w noc wigilijną (24 grudnia), na nabożeństwo odprowadzane z okazji zakończenia starego roku (31 grudnia), na sumę w Nowy Rok (1 stycznia) powinien mieć zawsze przy sobie kawałek chleba, aby potem nie brakowało go na hali podczas wypasu. Po pasterce baca i juhasi starali się iść prędko do domu, nie zatrzymując się pod kościołem i nie rozmawiając, aby w czasie wypasu dobrze pracowali, pilnowali czujnie stada i nie tracili czasu na



rozmowy. W Boże Narodzenie (25 grudnia) baca szedł do kolegi po fachu z życzeniami, zaś do niego udawali się juhasi.

Aby wypas przebiegał pomyślnie gospodarze, właściciele owiec, powinni także ze swej strony przygotować zwierzęta do wyruszenia na hale. Tak więc, żeby były zdrowe, należało je pierwszy raz wydoić w Wielki Piątek. W tym dniu znaczone też owce, co dodatkowo zabezpieczało je przed wściekliwością. Znak własności wycinano na uchu, na sierści, zakładano zwierzętom kolczyki itp.

Zbliżał się wreszcie moment wyruszenia w góry. Sezon wypasowy rozpoczynał dzień św. Wojciecha (23 kwietnia), a na niektórych terenach św. Zofii (1 maja), kończył zaś dzień św. Michała (29 września). Wiosną, po św. Wojciechu wyruszały w góry redyki, tak określano uroczyste wyjście stada na hale i jego powrót jesienią. Aby ustalić datę redyku, baca spotykał się z juhasami w swojej zagrodzie. W czasie tego spotkania obecni kładli kapelusze za jedną deskę jeden za drugim. Zabezpieczało to halę przed zniszczeniem jej przez krety i powodowało, że owce trzymały się stada. Dzień wyruszenia w góry nie był obojętny. Musiał to być dobry dzień, przynoszący szczęście ludziom i stadu. Za najlepszy uważano taki, w którym ubiegłego roku przypadała wigilia Bożego Narodzenia. W Beskidzie Wyspowym i w Gorcach za szczęśliwe dni uważano czwartek i sobotę, u Babiogórców sobotę, bo w ten dzień „Matka Boska ścieżeczki przechodzi”. Na Podhalu dobrym dniem była środa. Zdecydowanie złymi dniami na wyruszenie ze stadem były piątek i każde święto. Na terenie Beskidu Śląskiego i na Podhalu istniał zakaz wypędzania owiec w Dni Krzyżowe (data ruchoma). Na Spiszu za zdecydowanie zły okres na wyruszenie redyku uważano czas po pełni księżyca, nów oraz poniedziałek. Kilka dni przed oznaczonym dniem redyku baca powiadamiał juhasów kiedy odbędzie się tzw. mieszanie owiec, a oni informowali o tym ich właścicieli. W oznaczonym dniu gospodarze przypędzali swoje zwierzęta do zagrody bacy, który na tę okazję przygotowywał odpowiednie zagrodzenie. Na niektórych terenach, np. w Gorcach i Beskidzie Wyspowym mieszanie owiec odbywało się ostatecznie na hali, gdzie gospodarze sami je przyprowadzali.

Po zgromadzeniu owiec koło chałupy bacy gospodarze - właściciele zwierząt i juhasi byli przez niego goszczeni przez całą noc. Po zachodzie słońca baca wchodził do zagrody i sam bez świadków obsypywał zgromadzone w niej owce ziemią, na Spiszu zebraną spod progu swojego domu, w rejonie Babiej Góry spod progu kościoła. Zabieg ten miał spowodować połączenie owiec w jedno stado. Rano baca z juhasami obchodził zagrodę z owcami trzy razy dookoła idąc zgodnie z kierunkiem słońca. Okadzał je ziołem święconym w dniu Matki Bożej Zielnej, kropił wodą święconą w Trzech Króli, używając do tego trzech poświęconych gałązek świerka lub jodły. W czasie tych zabiegów obecni odmawiali w skupieniu „Ojcze Nasz”. Baca kropił też i okadzał juhasów i honielników, aby trzymali się razem, nie bili się między sobą, byli zdrowi i bezpieczni od czarów, czuli jedność ze stadem i dbali o nie jak o siebie. W czasie tego zabiegu kłęczeli oni z odkrytymi głowami.

Przed wypędzeniem owiec na drogę, baca przy wyjściu z zagrodzenia rozciągał łańcuch tak, aby każda sztuka musiała przez niego przejść. Niekiedy też kładziono dwie skrzyżowane ciupagi, czasem powiązane owym właśnie łańcuchem. Przepędzano także owce przez stułę, o ile baca taką posiadał, a także przez nożyce do ich strzyżenia. Wszystko to miało spowodować trzymanie się stada, siłę zwierząt, zdrowie i odporność na czary. Przy wypuszczeniu owiec na drogę baca liczył je po raz pierwszy. Licząc nie wolno było pokazywać zwierząt palcem, a najwyżej kapeluszem. Echo tego magicznego obrzędu można znaleźć w popularnej na Podhalu przysłówce:

*Sto se jedna, sto se dwie,
stoi baca u jedle.
Stoi baca pod buckiem
cyta owce (liczy) kłobuckiem (kapeluszem).*

Jeden z juhasów głośno liczył owce, drugi po każdej dziesiątce przesuwiał na różańcu jeden paciorek. Powszechnie uważano, że zbyt częste liczenie stada szkodzi zwierzętom.



Pierwszej owcy, która wychodziła z zagrodzenia baca smarował racice święconym czosnkiem. Teraz kreślił w kierunku marszu krzyż, a następnie czasem jeszcze raz obchodził już stojące na drodze stado dokoła zgodnie z ruchem słońca i kropił je święconą wodą. Szedł pierwszy, niekiedy poprzedzany przez psa. Obawiano się, że na drodze idącego stada ktoś może podrzucić czary, a wtedy zaszkodziłoby jedynie temu, kto pierwszy przez nie przejdzie. Po bokach kroczyli juhasi, z tyłu honielnicy. Za stadem jechał wóz wyładowany sprzętem pasterskim. Juhasi przez całą drogę głośno gwizdali, aby odpędzić od owiec i całego orszaku wszelkie złe siły. Cały pochód odbywał się z powagą, bez śpiewów, śmiechów itp. Wychodzącego redyku nie wolno było odprowadzać, a kobiety obowiązywał zakaz płaczu, gdyż w przeciwnym razie przez cały sezon padał deszcz, a owce i ludzie chorowali z zimna i wilgoci. Juhasi w czasie drogi przestrzegali zakazu podpierania się ciupagą, aby owce nie łamały nóg i nie kulały. Ciupagę należało nieść w ręku. Upuszczenie jej na ziemię mogło spowodować pomór owiec.

Stado i pasterze docierali tak na halę, gdzie mieli spędzić kilka następnych miesięcy. Od momentu opuszczenia wsi aż do powrotu owce były pod wyłączną opieką pasterzy. Od ich sprawności, doświadczenia, nierzadko siły i odwagi zależał los stada, czasem ich własne życie i zdrowie, wreszcie dochód z ciężkiej pracy. Warunki tej pracy były bardzo trudne. Dawały się we znaki kaprysy pogody, niszczące stado choroby i drapieżniki, wreszcie ludzie - inne zespoły wypasowe, z którymi przychodziło nieraz walczyć o pastwiska, a w odległej przeszłości zbójnicy. Nie sprzyjała też ludziom i zwierzętom dzika, górską przyroda. Nic więc dziwnego, że właśnie hodowla owiec, a właściwie okres ich pobytu na odległych pastwiskach górskich, jak żadna inna dziedzina życia gospodarczego obfitowała w magiczne zakazy i nakazy, zabiegi, wierzenia i czary. Po dotarciu na halę juhasi pilnowali pasących się owiec, baca zaś udawał się do źródła, z którego potem przez cały sezon brano wodę, aby je powitać. Kropił źródło święconą wodą, nabierał wodę z niego do naczynia i zanosił do szałas. Najpierw czynił nad kolebą znak krzyża, żegnał się i wreszcie wchodził do środka w towarzystwie najstarszego spośród juhasów, tu obaj klękali i odmawiali pacierz. Następnie baca żegnał ciupagą wszystkie cztery kąty i kropił wewnątrz święconą wodą. Teraz dopiero przystępowano do sprzątania i naprawiania powstałych przez zimę szkód.

Kolejną czynnością było zakładanie waty. W miejscu, gdzie miała płonąć przez cały sezon, baca znaczył ciupagą krzyż. Ogień zapalano krzesiwem, gdyż musiał to być „żywy”, święty ogień. W dalekiej przeszłości zapalano ten pierwszy ogień świdrem ogniowym. Niekiedy przynoszono go też na szałas ze wsi, a zgaśnięcie ognia po drodze zwiastowało nieszczęście. Pierwszego ognia nie wolno było pod żadnym pozorem przynieść z innego szałas, bo oba by wkrótce zgorzały. Gdy w szałasie pojawiły się pierwsze płomyki waty baca, a za nim juhasi obecni we wnętrzu mówili z powagą: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, witając potężny żywioł. Po zapaleniu waty baca kładł na dno kociołka lub garnka mały kamień, sypał na niego trochę święconych ziół, wrzucał węgielki, wychodził z szałas, okadzał go dokoła idąc zgodnie z ruchem słońca, Juhasi w tym czasie zajmowali się grodzeniem koszar dla owiec. To był również ważny moment w czasie całego sezonu wypasowego. Pierwszy kołek użyty do grodzenia powinien być ścięty jednym ciosem siekiery. Pod kołki ogrodzenia baca wkładał święcone zioła. Następnie na pierwszym palu wbitym w ziemię zawieszał *podłaźniczkę* - wierzchołek jodełki lub świerka. W Beskidzie Wyspowym podłaźniczki umieszczano w każdym rogu koszar. Po ustawieniu koszar należało w odpowiedni sposób zabezpieczyć wejście do niego, aby do środka nie dostało się żadne zło. Na terenie Beskidu Żywieckiego, na Orawie, Podhalu i Spiszu baca zakopywał w tym miejscu stułę, świecę do chrztu, kości i zęby zmarłego, воск z Paschału, a także węgielki i zioła użyte do okadzania szałas. Wykopane wgłębienie wraz z zawartością zasypywał ziemią, krzyżował nad nim ciupagi lub zapalał niewielkie ognisko podsycane święconymi ziołami. Zanim do tak przygotowanego koszar wpuszczono owce, na Podhalu i Spiszu baca wysypywał na jego środek przyniesione z lasu mrówki, aby zabrały ze sobą wszelkie zło, jakie mogło jeszcze tu pozostać i żeby owce tak trzymały się razem jak mrówki w mrowisku. Następnie we wrotach do koszar ponownie rozciągano łańcuch, często zapięty na kłódkę. Na Podhalu, Spiszu i u Babiogórców w dalekiej przeszłości zamiast łańcucha kładziono męskie spodnie. Następnie baca wpuszczał owce do koszar po jednej, czyniąc nad każdą znak krzyża. Pośrodku koszar wbijano jodełkę, niekiedy zastępował ją lipowy kół.



Gdy owce znalazły się wreszcie w koszarze, baca niekiedy jeszcze raz okadzał go wraz ze zgromadzonym wewnątrz dobytkiem.

Ważnym momentem w życiu szałasów był też pierwszy udoj. Przed jego rozpoczęciem juhasi smarowali ręce wspomnianym już masłem, żeby ich przez cały sezon nie bolały i nie puchły. Przy pierwszym cedzeniu mleka, na naczynie kładziono szmatkę służącą do tego celu, a na niej krzyżyk wykonany z wosku zebranego ze świecy paschalnej lub krzyżyk z gałązek świerka. Następnie baca obchodził naczynie zgodnie z ruchem słońca, a juhasi postępowali za nim. Ser zrobiony z mleka uzyskanego w czasie pierwszego udoju baca zachowywał. Teraz rozpoczynało się już normalne życie na szałasie, wypełnione ciężką pracą i troską o stado.

Owce przebywające na hali dojono od maja do lipca łącznie trzy razy dziennie, a pod koniec wypasu, gdy miały już mniej mleka, tylko dwa razy. Dojeniem zajmowali się juhasi. Służyło im do tego naczynie drewniane zwane *gieletą*. Do cedzenia mleka używano lnianej płachty zwanej *powązką* lub *sałą*. Gromadzono je w wysokim, drewnianym naczyniu, w tzw. *pucierze*. Podgrzewano w kotle zawieszonym w szałasie nad watrą. Do mleka dodawano tzw. *klag* - podpuszczkę z żołądka cielęcia. Teraz ścinało się ono, czyli *klagało*. Mieszano je specjalnym drewnianym mieszałem przypominającym wiosło, czyli *ferulą*. Kawałki sera baca wybierał rękami wkładając je do lnianej płachty zwanej *grudzianką*. Zawieszony w niej ser, czyli *gruda* lub *bunc*, ociekał z serwatki. Był on także produktem wyjściowym do wyrobu oscypków - małych serków, uformowanych ze słodkiego sera. Moczono je następnie w gęstym roztworze soli, a potem wędzono. W serwatce pozostawały drobiny sera. Była to żętyca, niegdyś obok oscypków i buncu podstawowe pożywienie pasterzy podczas wypasu. Spożywano ją na słodko lub, podobnie jak krowie mleko, na kwaśno, po skisnięciu.

Przez cały czas wypasu przestrzegano również wielu magicznych zakazów i nakazów, stosowano szereg zabiegów mających zachować stado i ludzi w zdrowiu, zapewnić obfitość mleka itp.

Dzwonki nosiły na hali tylko te owce, które się nie doiły. Zawieszenie dzwonka *dojce* mogło spowodować zniknięcie mleka. Aby było go pod dostatkiem, a wyroby udane, dbano też przez cały czas wypasu o naczynia używane w gospodarstwie pasterskim. Drewniane *statki* należało myć w szałasie na stojąco. W tym celu w ogniu watry grzano małe kamyki i wrzucano je następnie do naczyń wypełnionych zimną wodą. Woda po wrzuceniu kamyków wrzała, a gdy nieco przestygła szorowano naczynie gałązkami świerka. Najlepiej nadawały się do tego gałązki młodego drzewa oświetlanego pierwszymi promieniami wschodzącego słońca i którego cień padał w dodatku na szałas. Obowiązywał zakaz mycia w bieżącej wodzie *gielet* używanych do dojenia, aby mleko z nią nie odpłynęło. W tym samym celu przestrzegano zakazu mycia do dnia św. Jana Chrzyciela kadzi, w której robiło się ser i zakazu dawania czy też sprzedawania żętycy za próg szałasów.

Żeby owce były zdrowe, a wypas udany dzień zaczynano modlitwą do św. Mikołaja. Odmawiał ją baca z juhasami. W tym celu także, baca w każdy piątek po wieczornym udoju okadzał owce święconym zieleń. W trzy dni po przybyciu na halę szałas odwiedzali właściciele zwierząt. Przychodzili „do miry”. Od rana towarzyszyli juhasom w pasieniu, sprawdzali jaką jest pasza. W południe każdy doił swoje owce do *gielety*. Z udojem tym przychodził do bacy, a ten specjalnym patyczkiem mierzył wysokość mleka w naczyniu. Poziom cennego płynu zaznaczał zacięciem na patyczku, rozszczepiał go wzdłuż, na połowę, jedną część wręczał gospodarzowi, drugą zachowywał dla siebie. Ten tzw. *zamirek* służył potem do obliczania ilości sera należnej właścicielowi zwierząt.

Obok zabiegów mających na celu uzyskanie dużej mleczności stada, bardzo ważna była troska o zdrowie owiec. Tak więc, żeby nie dokuczały im wrzody, juhasów obowiązywał zakaz suszenia po dojeniu rąk nad ogniem watry. Aby z kolei owce nie łamały nóg przestrzegano zakazu łamania patyków na ognisko na kolanie i unikano łamania gałęzi. Nigdy też nie wołano głośno na owce, gdyż mogło to spowodować chorobę nazywaną słońecznica. Stadem kierowano przy pomocy przeraźliwych gwizdów i pohukiwań.



Radzono sobie też w razie choroby zwierząt. Gdy owca zapadła na tzw. *zabę*, nazywaną też *łomowicą* (owrzodzenie przełyku), leczono ją uderzając gałązką jedliny w kształcie krzyża. Środkiem leczniczym w razie ukąszenia węża było okadzanie zwierzęcia spaloną skórą wężową. Sądzono, że aby ochronić stado przed węzami baca nie powinien ich zabijać, bo zemszczą się one za śmierć współplemieńca i będą kasały powierzone człowiekowi owce. Nie wolno też było przeganiać owiec suchą gałęzią lub kijem, bo mogły zdechnąć. Śmierć stada powodowało pojawienie się na hali obcego psa w wigilię św. Jana Chrzciciela. Żeby jego obecność nie zaszkodziła zwierzętom należało przepędzić kłopotliwego gościa ciupagą lub kijem okurzonym dymem watry. Jeżeli już owca na hali padła, skóry z niej nie oddawano nigdy przed zakończeniem sezonu wypasowego, bo mogło „pójść” za nią całe stado.

Inny problem stanowiła ochrona przed drapieżnikami. Najlepiej zabezpieczał przed nimi rodzaj obiady składanej z pierwszego jagnięcia narodzonego na hali. Zabite zwierzę baca zanosił w pobliski gąszcz pewien, że od tej pory żaden drapieżnik nie tknie stada.

Najgroźniejszym jednak wrogiem zwierząt i ludzi były czary. Mógł je rzucić zawistny baca, gospodarz, czarownik, można je było niechcący „zawlec ze sobą”. Stąd juhasi nie opuszczali hali podczas sezonu bez potrzeby. W odległej przeszłości obowiązywało ich też zachowanie czystości seksualnej do dnia św. Jana Chrzciciela. Po św. Janie kontakty z kobietami mogli mieć tylko juhasi. Baca przez cały sezon musiał żyć wstrzemięźliwie. Kobiety, jako istoty będące „za pan brat” z siłami nieczystymi miały zakaz wstępu na halę. Groźna była zwłaszcza obecność kobiet w czasie menstruacji. Wtedy same stawały się nieczyste i mogło wraz z nimi przywędrować każde zło. Niechętnie widziano też na szałasie kogoś obcego. Na wszelki wypadek, gdy odchodził, baca w ślad za nim sypał trochę soli lub popiołu z watry, by zniszczyć ewentualne zło, które zostawił. Odwiedziny mieszkańców wsi na hali były rzadkością. Miały miejsce w dniach świąt pasterskich, czyli w św. Jana Chrzciciela i św. Jakuba. Przychodzili wtedy właściciele owiec, rodziny pasterzy, wyjątkowo kobiety. Baca urządzał poczęstunek, przybysze przyprawiali muzykę, tańczono, śpiewano.

Powoli nadchodziła jesień. Zejście z hali w doliny rozpoczynano po wspomnianym już dniu św. Michała Archaniola, uważanego w Polskich Karpatach za opiekuna i patrona owiec. W Karpatach Zachodnich cały miesiąc wrzesień nazywano *miesiącem michalskim*. Wierzono, że pozostanie na hali ze stadem po tej dacie przynieść może nieszczęście zwierzętom i ludziom. Istniało nawet przysłowie: *Kto pasie po Michale, nie wróci na hale, czyli spotka go coś złego, co uniemożliwi powrót w góry na przyszły rok.*

W dniu powrotu do wsi z hal przygotowywano do drogi przede wszystkim zwierzęta. Słabe lub chore owce umieszczano na wozie. Na wóz ten załadowywano cały sprzęt pasterski i nabiał. Po wyniesieniu wszystkiego z szałasu baca żegnał palące się tu przez cały sezon ognisko znakiem krzyża, modlił się, a następnie zalewał je wodą. Czasem czekał, aż ogień sam wygaśnie. Szałas zamykano i zabezpieczano na zimę. Redyk ruszał w dolinę. Wracano głośno, wesoło, z muzyką i śpiewem. We wsi oczekiwano przybyszów. Rodziny witały pasterzy, gospodarze wypytywali bacę o swoje owce. Juhasi rozdawali dzieciom i dziewczętom zwierzątka z sera i małe serki tzw. *redykalki*. Stado ze swoimi opiekunami szło teraz do zagrody bacy lub pod miejscową karczmę, gdzie owce oddawano właścicielom. Po rozdzieleniu stada baca zapraszał właścicieli owiec na poczęstunek. Nierzadko powrót z hal kończyła zabawa w karczmie, w której uczestniczyła cała wieś. Obchodzono święto powrotu - jesienny redyk.

Oczywiście naszkicowany tu obraz „halnego życia” nie jest wyczerpujący. Zwyczaje, obrzędy, wierzenia, wreszcie wszystkie działania związane z pasterstwem to najbogatsza dziedzina kultury mieszkańców Karpat, nie tylko polskich. Warto tu przypomnieć, że pasterskie tradycje w Karpatach mają wspólne źródło. Zdominowały je elementy kulturowe przyniesione tu przez wolnych, wołoskich pasterzy. Świadczy o tym podobna na całym łuku karpackim organizacja wypasu, związane z nim przedmioty i ich nazwy, zwyczaje, magia, czy wątki folklorystyczne obecne w podaniach i pieśniach.



Niezależnie od tej ogólnokarpackiej wspólnoty kulturowej istnieją tu ciekawe lokalne odmiany zjawiska, jakim jest bez wątpienia pasterstwo -jeszcze wiek temu podstawa bytu tutejszego ludu, dzisiaj jedynie relikw kulturowy, ciekawostka coraz rzadziej spotykana na karpackich szlakach, zwłaszcza w naszym kraju.



Bulandowa Kapliczka na Jaworzynie Kamienickiej w Górcach